

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Szatan z siódmej klasy



BUKOWY LAS



Diabeł wyskakuje z pudełka

Pan profesor Gąsowski nauczał historii wedle własnej, nieco rozwichrzonej metody. Niektóre wielkie postacie, błakające się po Elizejskich Polach* albo krążące pośród gwiazd, bardzo miłował, o niektórych rozprawiał z drwiącym lekceważeniem, a w licznym, nieśmiertelnym tłumie były i takie, o których nie chciał mówić wcale. Omijał je przy spotkaniu, udawał, że ich nie dostrzega, nie kłaniał im się. O ukochanych osobistościach mówił z gorącym zapalem, piejąc na ich cześć górne hymny, po każdym zdaniu zasadzając wykrzyknik jak cyprys na grobie. O Napoleonie, z ukochanych najukochańszym, rozprawiał jak natchniony poeta. Zdawało się, że w każdej chwili zakrzyknie gromko: „Niech żyje Cesarz!” – i rzuci się w bój, krwawy szatan. Napoleon, siedząc okrakiem na komecie jak na ognistym koniu, z wielką przyjemnością przysłuchiwał się panu profesorowi Gąsowskiemu. Gdyby mógł sięgnąć z nieba, przypiąłby na jego piersi Krzyż

* Elizejskie Pola – w mitologii greckiej świat pozagrobowy, miejsce, gdzie po śmierci przebywały dusze ludzi prawych.

Legii Honorowej. Mniej zadowolony z tych wykładów był piękny Alcybiades*, o którym pan profesor mówił z lekceważeniem, że „był to fircyk, elegancik i w ogóle wydmuchana osobistość”. Nie można było dojść, czym sobie szlachetny Ateńczyk zasłużył na tę opinię. To go jedynie mogło pocieszyć, że o innych nieśmiertelnych pan profesor szerzył zgoła oszczerstwa. Cezar** miał zamazaną hipotekę i gdyby to zależało od pana profesora Gąsowskiego, nieśmiertelność pozbawiałaby go prawa korzystania z niezmiernej chwały. Tym, o którym pan profesor wcale nie chciał mówić, któremu by się nie uklonił i któremu nie podałby ręki, był Hannibal***. Dlaczego? O tym wiedzą jedynie kartagińscy bogowie, jeżeli w ogóle o czymś wiedzą, bałwany opasłe. Hannibal miał wielu wrogów, straszliwych wrogów, śmiertelnych wrogów, ale nigdy i przenigdy nie miał takiego, jakim był twardy, zawzięty i nieustępliwy pan profesor Gąsowski. Od wielu lat mieli ze sobą na pieńku. Nieszczęsny Hannibal, łypiąc jednym okiem, chwycił się za głowę i jęczał: „Co ja takiego mogłem uczynić, że mnie pan profesor Gąsowski tak nie znosi?”. Nikt tego nie wiedział. Wiedział tylko pan profesor.

Miał on duże, jasne oczy i taki w nich wyraz, jak gdyby zawsze był zdziwiony. Czasem z nagle przerywał wykład, patrzył daleko przed siebie i długo się czemuś przyglądał. Cała siódma klasa wpatrywała się w to samo miejsce, lecz nikt niczego nie mógł dojrzeć, bo nie było w tym miejscu nawet mizernej muchy, podrygującej w wiosennym słońcu. Coś jednak musiało być... Może to właśnie Perykles****, cieszący

* Alcybiades (450–404 p.n.e.) – mąż stanu i wódz ateński.

** Cezar (Caius Julius Caesar – 104–44 p.n.e.) – jeden z największych mężów stanu starożytnego Rzymu, wódz i pisarz.

*** Hannibal (247–183 p.n.e.) – wielki wódz i polityk kartagiński.

**** Perykles (500–429 p.n.e.) – ateński mąż stanu, przywódca ateńskiej demokracji, na okres jego rządów przypada największy rozkwit kulturalny w Atenach.

się dość dużą sympatią pana profesora, stąpał przez ateński rynek? Może się tam toczyła bitwa? Może krzyżowcy zdobywają Antiochię? Kiedy widma przesiały się przez blask, pan profesor wzdychał i patrzył na trzydzieści rumianych gęb z takim zdumieniem, jak gdyby je ujrzał po raz pierwszy w życiu. Trzydzieści gęb patrzyło w niego ciepłym spojrzeniem, bo pan profesor był wielce miłowany. Klasa siódma, w której właśnie nauczał wzniosłych dziejów, znając dobrze jego serce, zachłyśnięte pobożnym podziwem dla Napoleona, oddawała Cesarzowi przy każdej sposobności takie honory, że pan profesor Gąsowski promieniał. Gdyby Napoleon mógł wrócić na ziemię, choćby na nowe „sto dni”, on byłby pochwycił sztandar, a klasa siódma pobięłaby za nim. Nie samym jednak Napoleonem żyje człowiek, czasem musi też zajmować się tym opryszkim Hannibalem. Trudno... Historia jest bigosem, ciężkostrawną zbieraniną nie tylko z całego tygodnia, lecz także z lat wielu tysięcy.

Pan profesor Gąsowski, wałęsając się przez długie swoje życie po nieogarnionych dziedzinach, przeskakując przez tysiąclecia jak przez przepaście, biorąc żywy i namiętny udział w wojnach, zawierając sojusze i podjudzając rewolucje, stał się niezwykle roztargniony. Nie jest to dziwne, skoro się zważy, że po nieszczęsnej jego głowie cwałowały wieki jak konie, a daty skakały jako te pchły. Pan profesor miał w głowie huczący młyn. Twierdzili niektórzy, że łatwo byłby sobie dał radę z kilkoma tysiącami lat, zamęt jednak w jego szlachetnej duszy spowodowało zmaganie się z kilku tysiącami urwi-połciów i małpoludów, których nauczał przez tyle czasów. Twierdzenie to jest wielce do prawdy podobne. Roztargnienie pana profesora Gąsowskiego było zdumiewające. Opowiadają o pewnym uczonym, że smarował masłem dłoni, głęboko przekonany, że smaruje trzymaną na dłoni bułkę. Takie doskonałe pomysły byłyby drobnostką dla pana profesora

Gąsowskiego. Nie jest natomiast prawdą, że to jemu właśnie zdarzyła się koszmarna historia, chociaż byli tacy, co chcieli przysięgać, że nikt inny nie mógł jej urządzić. Stwierdziliśmy niezbicie, że bohaterem jej był pewien głośny aktor, który razu jednego zapytał na scenie: „Jak ci na imię, Judyto?”. Otóż aktor ten (a nie profesor) kazał się obudzić w hotelu wcześniej rano. Przez pomyłkę służący powiesił na jego drzwiach książę sutannę. Roztargniony aktor, na pół jeszcze senny, wdział sutannę, a stanąwszy przed lustrem, wykrzyknął: „A cóż za bałwan, ten służący! Zamiast mnie obudził jakiegoś księdza!”. Pan profesor Gąsowski nigdy by tak nie krzyknął, lecz byłby wyszedł w sutannie na ulicę, o niczym nie wiedząc, zamiast w lustrze bowiem byłby się przejrzał albo w szafie, albo we drzwiach, albo w ścianie.

Zawsze roztargniony, nie znał dobrze dźwięcznych nazwisk swoich uczniów i mieszał je, nigdy nie wiedząc, które z nich do której należy gęby. Przy egzaminowaniu odczytywał je z notesu. Operacja ta odbywała się dwa razy tygodniowo, a na każde danie wybierał trzech, nigdy więcej, nigdy mniej. Wywołany wychodził z ławki, stawał tuż przy profesorskiej katedrze i tam brany był na męki. Dlatego, choć z niechęcią, używamy tego bolesnego słowa, że młody pawian bredził smętnie jak Piekarski na mękach. Zdarzało się to jednak nad podziw rzadko. W innych klasach bywało rozmaicie, w klasie siódmej jednakże historia stała na wysokim poziomie. Zdawać się mogło, że trzydziestu wyjących derwiszów zapalało niesłychaną do tej nauki namiętnością. Dziwy, dziwy. Jeden z drugim recytował ze zdumiewającą lotnością. Gadał dobrze jeden, gadał wybornie drugi i trzeci świetnie gadał. Pan profesor Gąsowski kiwał z uznaniem szlachetną swoją, bardzo już srebrzystą głową, rad w duszy, że młodzi Lechici, o których inni profesorowie wyrażali się z czarnym powątpiewaniem, z takim entuzjazmem służą muzie historii;

aby okazać swoje zadowolenie, chwycił czasem młodziana za ucho, gest ten przejąwszy od Napoleona. Dumny był ze swojej rozkrzyczanej hałastry, nazywanej klasą siódmą, jak Cesarz ze swojej gwardii. Zdaje się jednak, że gwardia cesarska mniej czyniła wrzawy w bitewnym tłoku niżli klasa siódma w czasie pokoju. Bardzo pyskata była ta społeczność, bujna, rozbrykana i ponad ludzką miarę wesoła. Stado mustangów na prerii nie rży tak radośnie na widok wody, jak umiała rzeć rozgłośnym śmiechem klasa siódma. Około trzydziestu dryblasów umiało wyprząść pogodę z najczarniejszych dni. W klasie siódmej, jak w państwie hiszpańskiego króla, nigdy nie zachodziło słońce. Śmiały się radośnie młode oczy, śmiały się pyzate gęby i śmiały się usta, napełnione niepoliczoną ilością zdrowych zębów. Gdy się któremuś z klasy siódmej wykrzywił smutkiem młodzieńczy, miły pysk, wierni towarzysze tak długo zamawiali tę nagłą i nieprzyjemną chorobę i tak długo pocieszali zasmucone koleżeńskie osierdzie, że smutek odlatywał z wrzaskliwym krakaniem wrony. Nie bardzo będziemy skłóceni z prawdą, ogłosivszy, że klasa siódma przypominała tajny jakiś związek, w którym wszyscy pomieniali się na serca. Jest to handel zamienny połączony z najmniejszym prawdopodobieństwem cygaństwa. Pomienianie się na głowy byłoby interesem ryzykownym, można by bowiem otrzymać baranią za jako tako ludzką. Klasa siódma złożona była z dobrych chłopców, z serdecznych chłopców, głowy jednak były w niej rozmaite, różnorakiego kalibru, różnorakiej trwałości i pojemności. Tym bardziej musiało to zastanowić każdego bystrego człowieka, że wszystkie szlachetne łby tej klasy promieniały wyborną znajomością historii. Panu profesorowi Gąsowskiemu wystarczało to w zupełności do zadowolonego szczęścia. Wcale go to nie obchodziło, co się dzieje z matematyką, łaciną i innymi gałęziami drzewa wiadomości złego i dobrego. Wiedział o tym, że siódmoklasista,

wywołany przed katedrę, aby zdał sprawę z historycznych mądrości, będzie śpiewał jako ten słowik. Na początku roku szkolnego szło z tym jakoś kulawo, od pewnego jednak czasu każdy egzamin był koncertem. Największy tępak w klasie, który lotnością inteligencji niewiele przewyższał dębową szafę, historykiem był pierwszorzędnym. Pan profesor był dumny, puszył się jak paw i nadymał w dobrej duszy.

Nie miało granic jego zdumienie, kiedy z początkiem czerwca, więc już ku końcowi szkolnego roku, wywołany jako pierwszy baszybuzuk*, zwący się Kaczanowski, nie zerwał się jak zwykle z miejsca, nie zbliżył się jak zwykle tanecznym krokiem do katedry, lecz zgoła osłupiał.

– Kaczanowski! – wezwał go profesor po raz drugi.

Tamten spojrzał na pana profesora zdumionym wzrokiem.

– Ja, proszę pana profesora? – zapytał jakby z wyrzutem.

– Czy nazywasz się Kaczanowski?

– Tak, proszę pana profesora... Ale to jakaś pomyłka...

– Jaka pomyłka?

– Ja przecie nie miałem być dzisiaj pytany... to znaczy...

Chciał cofnąć te słowa, ale nie mógł już schwytać ich w locie.

– To musi być pomyłka! – dodał już z rozpaczą.

Pan profesor Gąsowski spojrzał na niego z niewymownym zdumieniem.

– Proszę wyjść w tej chwili z ławki!

– Dobrze, panie profesorze – rzekł Kaczanowski z goryczą. – Ale z tego i tak nic nie będzie.

Po klasie przebiegł zatrwożony szmer, jakby wicher poruszył śpiące sitowie. Skazaniec zbliżył się do katedry i stał, zamieniony w słup soli, znękany, pobity, nieszczęsny, zdziwiony, rozżalony, pobladły i gotowy na śmierć. Klasa zaczęła dawać

* Baszybuzuk – tu żartobliwie: hultaj, zawadiaka.

mu dziwaczne znaki, zachęcać go szeptami, ruchami rąk i mruganiem oczów. Siedzący w pierwszej ławce dobry kolega Cisowski „krzyknął” zduszonym szeptem brzuchomówcy:

– Zawróć do Napoleona!

Była to rada dobra. Można było czasem, omijając zbyt trudne zawilości, śmiałym przeskokiem w stronę Cesarza ocalić straconą pozycję. Należało, rozprawiając o edykcje nantejskim, rzec ni z tego, ni z owego: „Napoleon byłby z tego wybrnął”. „Tak myślisz? – wtrącał wtedy pan profesor. – A jak?” Dalej szło już gładko, a czas mijał. W tej chwili jednak zbawienna rada niewarta była funta kłaków. W zacynym profesorze obudziła się niezwykła czujność. Zawsze zdumione jego oczy były jeszcze więcej zdumione. Patrzył długo na zbuntowanego młodzieńca i dziwnie kręcił głową.

– Co znaczą twoje słowa, że „z tego dzisiaj nic nie będzie”? – zapytał ponuro.

– Bo ja nie jestem przygotowany – rzekł Kaczanowski z determinacją.

– Nie może być! – zakrzyknął pan profesor. – To niesłychane... Nic nie umiesz?

– Nic, panie profesorze...

– Uczciwie się przyznajesz?

– Najuczciwiej.

– Dlaczego? Bardzo proszę... Dlaczego?

– Bo ja...

– Przestań! – krzyknął brzuchomówca z pierwszej ławki.

– Bo co ty? Aha! Powiedziałeś, że nie miałeś być pytany. Na jakiej podstawie możesz tak twierdzić?

Kaczanowski milczał. Zaciął usta i pochylił głowę.

– Nadzwyczajne... – mruczał profesor. – Nadzwyczajne... Żegnam pana.

„Pan” Kaczanowski szedł do swojej ławki takim posuwistym i leniwym krokiem, jak gdyby tam miał kupić własną

trumnę, a do tego na kredyt. Na klasę spadła cisza. Wszyscy patrzyli na pohańbionego kolegę ze strwożonym współczuciem.

Pan profesor nie mógł pojąć, co się stało. W roztargnieniu rozgrabił siwą, bogatą czuprynę chudymi palcami i wpatrzył się w ścianę, jak gdyby na niej miało się za chwilę ukazać ognistymi zgłoskami wypisane tłumaczenie, dlaczego miły młodzian Kaczanowski, chłopiec rozsądny i rozgarnięty „historyk”, nagle i niespodziewanie w bałwana przemienion. Ponieważ na ścianie nic się nie ukazało, staruszek spojrzał błagającym spojrzeniem na piec. (Piec też pochodzi z rodziny dziedzicznych idiotów). Przymknął przeto oczy i spojrzał w głąb roztropnego ducha, z którym musiał pogadać na rozum: roztropany duch wyjaśnił mu pokrótce, że jak jedna jaskółka wiosny nie czyni, tak jeden Kaczanowski nie zburzy jego radości i dumy. Kaczanowskiemu musiało uderzyć coś na rozum. Może upadł?... A może boli go ząb? Może się najadł niedojrzałych jabłek, co wobec tajemnych związków żołądka z głową mogło osłabić zwyczajną jej sprawność? Niech przeto inny naprawi to, co zburzył Kaczanowski: „historyczną” sławę siódmej klasy... Pan profesor obudził się z mętnej zadumy, zajrzał do swego notesu i nerwowym ruchem przerzucił dziewięć, wyraźnie dziewięć kartek.

– Ostrowicki! – zakrzyknął zduszonym głosem.

Cała klasa odwróciła się jak na komendę, młodzian bowiem tak zadzierzyście nazwany siedział w przedostatniej ławce. A Ostrowicki omal nie zemdlął. Podniósł się wprawdzie, lecz nie mógł uczynić kroku, jak gdyby pod jego nogami rozwarła się przepaść. Mówiono później, że wyszeptał straszne słowa: „Raz kozie śmierć!” – ale to nie jest pewne. Pewne jest natomiast, że wobec jego złamanej i zgruchotanej postawy Kaczanowski wyglądał jak bohater.

– Czy mam na ciebie trąbić?! – zawołał znowu zdumiony profesor.

Wesołe przypuszczenie, że zacy profesor wzywać będzie na egzamin głosem archanielskiej trąby, nikogo jednak nie rozweseliło. Nikt nigdy nie oglądał wesołej siódmej klasy w takiej topieli mroku i smętku.

Ostrowicki zbliżał się ku katedrze krokiem idącego na ścięcie. Przechodząc, kiwał głową na dwie strony, jak gdyby się żegnał na wieki z kolegami, z dobrymi mołojcami. „Idąc, kłaniał się damom, starcom i młodzieży...” – jak Podkomorzy w *Panu Tadeuszu*. Gdyby w klasie siódmej zasiadały damy, porównanie byłoby zgoła znakomite: był tam natomiast jeden „starzec”, bardzo zdumiony, i „młodzież” z takim na obliczach wyrazem, który nauka ścisła nazywa „zbaraniałym”.

– Ratuj, kto w Boga wierzy! – szepnął nieszczęśnik pierwszym ławkom.

Pierwsze ławki jednakże nagle rozpacz pozbawiła czucia. Serca w nich struchlały.

– Ostrowicki, miły chłopcze – mówił łagodnie profesor Gąsowski. – Spotkała mnie dzisiaj wielka przykrość... Bardzo wielka przykrość... Co tobie jest, czemu się chwiejesz?

– Słabo mi, pani profesorze... – jęknął młodzian.

– Ha! – zdumiał się profesor. – Słabo ci? Ale odpowiadać będziesz?

– Nie mogę, proszę pana profesora...

– Dlaczego? Połóż rękę na sercu i powiedz: dlaczego?

– Bo nie jestem przygotowany... Nie umiem... Nie spodziewałem się.

– I ty? I ty, Brutusie*? – krzyknął starsuszek. – Czy wyście dzisiaj poszaleli?

– Nie, panie profesorze... – miesił Ostrowicki słowa jak ciasto. – Pojutrze, w sobotę, umiałbym świetnie...

– A dzisiaj nie łaska?

* Brutus (Marcus Junius Brutus – 85–42 p.n.e.) – jeden z przywódców republikańskiego spisku przeciw Cezarowi, jego zabójca.

– Dzisiaj jest przecież czwartek! – rzekł Ostrowicki z rozpaczą. – To nie mój dzień...

Pan profesor patrzył na niego jak na łagodnego wariata. Zamykał oczy, jakby go raziło słońce, znowu je otwierał, aby nie utracić niezwykłego widoku, zbliżał się i oddalał.

– Aha... – mówił dziwnym głosem. – We czwartek jesteście bałwan... A w sobotę będziesz geniusz... Czy kpisz, młodzińcze?

– Niech Bóg broni! – zakrzyknął chłopiec gorąco. – Ale tak jest naprawdę. Pan profesor nie może o tym wiedzieć, ale tak jest...

– Odejdź! Odejdź prędko! – zawołał staruszek.

Ostrowicki, wśród śmiertelnej ciszy całej klasy, powłókł się do ławki, jak gdyby był naprawdę ciężko chory. Błady był, a na czole miał grube krople potu. Opadł na ławkę i dyszał.

Klasa spojrzała z niepokojem na pana profesora Gąsowskiego.

Siwy człowiek, dobry człowiek, usiadł za katedrą i splecionymi rękami zasłonił twarz. Wyglądał jak ten, co płacze i pragnie przed gawiedzią ukryć łzy. Musiało mu się coś popsuć w pocziwym sercu, bo wszystkim się wydało, że staruszek drży.

– Panie profesorze... – ozwał się ściszony głos z pierwszej ławki.

Profesor rozplótł ręce i niecierpliwym ruchem jednej z nich dał znak, aby mu nie mącono ciszy. Drugą zasłaniał sobie oczy.

Chociaż dzień był promieniście słoneczny i błękit lał się z nieba ogromną rzeką, w szkolnej sali uczyniło się mroczno. A tak było przeraźliwie cicho, że aż w ostatnich ławkach słysząc było zmęczony i nierówny oddech profesora. Zapadł w udręczone milczenie jak w trzęsawisko. Nie odsłaniał oczów, jakby nie chciał widzieć złośliwego świata.

Trzydziestu chłopców wpatrywało się w niego spojrzeniem, w którym łzawił się ogromny smutek. Wszystko można znieść, tego jednak znieść nie można, aby dobry, och, jak dobry człowiek – dręczył się. Ten i ów zaczął naradzać się najcichszym szeptem. Nagle znieruchomieli wszyscy, bo pan profesor Gąsowski coś mówi...

Mówi urywanym głosem, a słowa zataczają się, jakby były bezsilne:

– ...Nauczam od trzydziestu kilku lat... Jestem bardzo zmęczony i tego roku już na pewno odejdę ze szkoły... Ale nie skarżyłem się nigdy... Zdawało mi się, że kochali mnie zawsze ci, których nauczałem. Nie byłem nigdy srogi, może nawet byłem zbyt miękki... Więc mnie nigdy nie spotkało to, co mnie dzisiaj spotkało... Byłem dumny z siódmej klasy i oto mam nagrodę: w siódmej klasie zakpiono sobie ze starego człowieka...

– Panie profesorze! – ozwał się jakiś głos z tylnych ławek.

– ...Nie przerywaj mi! Tak, dobrze mówię: zakpiono sobie ze mnie. Moi chłopcy naigrawają się ze starego człowieka... Jeden mówi, że nie na niego przypadła kolej, drugi nie chce odpowiadać, bo jest czwartek... Trudno. Mógłbym i jednego, i drugiego... Ale ja nie będę się mścił... Nie, moje dzieci... Jest mi tylko bardzo, bardzo smutno... Możecie się ze mnie śmiać... Bardzo proszę... Mścić się nie będę... Zbyt was kochałem... To moja wina... A teraz dość! Dzisiaj nie będę już pytał nikogo. Za chwilę rozpocznę wykład... Przepraszam was, że się rozżaliłem...

– Panie profesorze!

– Słucham!

W pierwszej ławce podniósł się Cisowski. Był to nieforemny chłopak, nieco pękaty, z rozmierzwioną czupryną; sądząc po jego budowie, musiał być sprężysty i silny. Spojrzenie miał śmiałe i dziwnie przenikliwe. W tej chwili był błądy i wzruszony. Przemawiał głosem miękkim i melodyjnym.

– Panie profesorze – rzekł z czułością. – Ja wszystko wytłumaczę.

– Przede wszystkim: kto ty jesteś? Twarz oczywiście znam, lecz twoje nazwisko wymknęło mi się z pamięci.

– Nazywam się Adam Cisowski.

– Być może... Wszystko być może. Takie się dzisiaj między wami dzieją historie, że już zwątpilem o wszystkim. Więc dobrze... Jesteś Cisowski i chcesz mi coś wyjaśnić. Bardzo proszę... Już jestem spokojny i mogę słuchać. Co mi masz do powiedzenia?

– To tylko, panie profesorze, że ja jestem winien wszystkiemu. Nikt inny, tylko ja. Ani Kaczanowski, ani Ostrowicki.

Pan profesor Gąsowski podniósł się i powoli zbliżył się do pierwszej ławki. Spojrzał głęboko w rozumne oczy chłopca i długo się w nie wpatrywał.

– Czy to mają być nowe kpiny? – zapytał cicho.

– Nie, panie profesorze. Ani dotąd nikt nie kpił, ani ja bym się nie ważył. Pan profesor może nawet o tym nie wie, że kochamy pana profesora uczciwie i serdecznie.

– I ty?

– I ja... Tylko że ja jestem zbrodniarz! Ja jestem winien wielkiego szachrajstwa, a nie mogę patrzeć na to, jak pan profesor...

Głos mu się załamał i uwiązł w gardle. Cała klasa patrzyła na niego z oszołomionym zdumieniem. Staruszek położył mu rękę na ramieniu i rzekł szybko:

– Jesteś wzruszony... Przestań! Możesz powiedzieć coś, czego będziesz żałował. Ja o niczym nie chcę wiedzieć.

– Ale ja muszę powiedzieć! Pan profesor ma żal w sercu. Niech mnie pan profesor zechce posłuchać...

Jak gdyby się tego obawiał, że staruszek przerwie mu niesłychane wyznanie, zaczął mówić szybko, zdyszany oddechem poganiając słowa pędzące na złamanie karku:

– Dzisiaj jest nasze Waterloo. Napoleon nie dojrzał głębokiego rowu na polu bitwy, a ja nie przewidziałem pomyłki pana profesora. Stąd pochodzi nasza sromotna klapa...

– Co stąd pochodzi?

– Klapa, czyli nieszczęście... Nie udało się, bo pan profesor się pomylił.

– Ja! – zdumiał się staruszek.

– Niestety! Wedle najściślejszych obliczeń miał dzisiaj być pytany Napiórkowski, Stankiewicz i Wilczek. Tymczasem pan profesor zaczął szukać przez roztargnienie o jedną kartkę bliżej, niż należało, i zaczął od Kaczanowskiego, wskutek czego automatycznie wylazł potem Ostrowicki, a jako trzeci miał wypaść Wnuk. To trójka z nadchodzącej soboty.

Pan profesor zaczął szybko mrugać oczami i patrzył na Cisowskiego z nieukrywanym strachem.

– Młodzieńcze! – zawołał. – Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Co to wszystko znaczy?

– To znaczy, panie profesorze, że pan profesor ma swoją metodę...

– Ja? Metodę?

– Tak jest... Odkryłem ją już bardzo dawno. Prawie każdy z panów profesorów ma jakiś swój sposób i porządek egzaminowania. Pan profesor egzaminuje każdego razu trzech, a tych trzech wybiera z notesu wedle niezmiennego porządku. Najpierw pierwszego, z kolei dziesiątego i dwudziestego, następnym razem drugiego, jedenastego i dwudziestego pierwszego i tak dalej. Ponieważ jest nas tu równo trzydziestu, a każdy w notesie pana profesora ma swój numer, więc łatwo było obliczyć, kto i kiedy będzie pytany.

Pan profesor cofnął się nagle i patrzył na Cisowskiego jak na czarownika.

– To przecież było najgłębszą tajemnicą! – zakrzyknął gromko.

– Z pewnością – mówił Cisowski. – Nie ma jednak na świecie takiej tajemnicy, której by nie można odgadnąć.

– Czekaj! Ani słowa więcej... Zaraz sprawdzimy! – Wydobyl z kieszeni notes, zamknięty siedmioma pieczęciami tajemnicy, i poczał go przeglądać z niebywałym pośpiechem. – Tak, tak... – mówił jakby przerażony. – Kartki mi się zlepiły. Istotnie... Pomyliłem się... Jak to odkryeś?! – krzyknął nagle wielkim głosem.

– To nie jest zbyt trudne – odrzekł skromnie Cisowski. – Było to w miesiąc po rozpoczęciu roku. Patrzyłem, ile kartek pan profesor odwraca, a ponieważ nazwiska nasze spisane są w porządku alfabetycznym... Metoda pana profesora była zbyt przejrzysta...

– Diabeł! Szatanie! – zawołał staruszek.

Sam diabeł byłby wprawdzie wystarczył, lecz zdumienie ponad ludzką miarę podparło go szatanem.

– Bardzo, bardzo przepraszam pana profesora... Cała klasa przepraszam pana profesora... Ale zawiniłem tylko ja...

– Pasy z ciebie zedrę! – wołał pan profesor.

Ponieważ trudna ta operacja wymaga czasu i osobliwych narzędzi, których nie było pod ręką, więc bystry młodzian, odkrywający potężne tajemnice, nie okazał zbytniego przerażenia.

Stał skruszony i smętny jak ten jawor, co w piosence „tam na polu stoi”, i czekał na potworne męki albo na krótki, zwarty, treściwy piorun, ten, co ukatrupił niecną Balladynę i wiele innych grzesznych postaci. Pan profesor jednakże – serce gołębie – nie był zdolny do zbrodni. Wszystkie muchy harcowały bezkarnie na jego srebrnej głowie, wiedząc, że straszliwy ten pasjonat, co grozi darcie pasów, nie ukrzywdziłby żadnej. Uniósł się jedynie gniewem potężnym i krwistym. Niemal przez lat czterdzieści ukrywał swoją świetną, nieporównaną metodę egzaminowania, opartą na

przemysłnym dowcipie: trzeci – trzynasty – dwudziesty trzeci, dziesiąty – dwudziesty – trzydziesty i znowu z powrotem od pieca. W ten sposób żaden z urwipołciów nie uniknął egzaminu, żaden nie wykpił się od dnia sądu, ale też nie był pokrzywdzony powtórным pytaniem. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, bo i jakże mogło przyjść? Trzeba szatańskiego sprytu, aby odkryć szatański pomysł, a przecie pomysł pana profesora Gąsowskiego był najsprytniejszym wybiegiem, godnym wielkiego dyplomaty. Chociaż tedy gniew go zalewał jak czerwone morze, chociaż ręce dygotały mu z nadmiernego wzruszenia, spozierał z chmurnym podziwem na tego obwiesia z pierwszej ławki. Obwieś, bo obwieś, ale ma odwagę. Przyznał się, aby go nie smucić. Co z nim zrobić? Zabić?... O tym będzie czas pomyśleć, w tej chwili bowiem panu profesorowi zamigotała w głowie myśl tak jaskrawa, jak rozżarzona błyskawica. Znowu się zbliżył do złoczyńcy i mówił zduszonym głosem:

– Czy moją tajemnicę wyjawileś wszystkim?

– Tak, panie profesorze...

– Aha! Objawileś... Oczywiście: dobry kolega! W ten sposób każdy wiedział z całą pewnością z góry, kiedy będzie pytany, i na ten dzień był doskonale przygotowany? Odpowiadaj!

– Niestety, panie profesorze – westchnął boleśnie największy opryszek nowych czasów.

– Dlatego Kaczanowski i ten drugi ani w ząb?

– Tak, bo to nie był ich dzień...

– Człowieku! – krzyknął pan Gąsowski. – Przecie w ten sposób nie umiecie nic!

Odkrycie tej smutnej prawdy było tak piorunujące, że *obstupuerunt omnes**. Zacny profesor załamał ręce i wznosił je

* *Obstupuerunt omnes* (łac.) – zdumieli się wszyscy.

rozpaczliwym ruchem ku milczącym ze zgrozy niebiosom. Muza historii, tak niecznie oszukiwana, chwyciła najbliższą, bardzo kanciastą gwiazdę i tłukła się nią po głowie. Czort z pierwszej ławki, ów Cisowski – miano to będzie w historii przekłète! – otworzył usta ze zdumienia, że jakoś ten szczegół uszedł dotąd jego uwagi, równocześnie jednak zmarszczył czoło na znak, że gwałtownie myśląc, szuka pociechy i dla swojego robaczywego sumienia, i dla pana profesora. Po chwili zaczął ciągnąć za włosy opierające mu się słowa, bardzo blade i bynajmniej nieodznaczające się zuchwałą pewnością.

– Tak źle nie jest, proszę pana profesora. My wszyscy wcale dobrze znamy historię. Swoją lekcję zna każdy znakomicie, a inne tematy może nie tak dokładnie, ale wystarczająco.

Pan Gąsowski jęknął cicho, lecz przejmująco.

– ...Za to epokę napoleońską znamy tak jak nikt – dokończył gorąco diabeł i szatan w jednej bezczelnej osobie.

– Tak, tak! – wytrysnęło kilka głosów w klasie.

Zbiorowa deklaracja całej tej społeczności chytrych małpoludów mogłaby być promykiem pociechy dla zasmuconej siwej duszy, która jednakże bardziej była wstrząśnięta z tego powodu, że została okradziona z mrocznej tajemnicy. Pan profesor głęboko był przekonany, że trzydziestu zbójców chociaż po kwiecistej łące historii skakało z kępy na kępę, że środy na piątek, wiele umie; chociaż bardzo roztargniony, nie zauważył w klasie siódmej zbyt wielkiej liczby zawodowych i upartych kretynów. Tak ich teraz zresztą przycisnie, że będą jęczeli jak pod prasą tłoczącą wino. Będzie ich przypiekał na rożnie, szybko obracając. Będzie jadowity, zły, kąśliwy, przykry, dręczący, słowem – Herodes*. Metodę, oczywiście, zmieni. Wynajdzie nową, tak piekielnie zawilą, tak

* Herod Wielki (Herodes Magnus – 72–4 p.n.e.) – namiestnik Galilei, król Judei.

przerażliwie zagmatwaną, że nie jeden mizerny diabeł, lecz cała ich czereda nigdy jej nie wyśledzi. Szkoda tej, wedle której egzaminował przez dziesiątki lat, była bowiem wygodna i tak się w niej wyćwiczył, że działał bez omyłki. Szkoda, wielka szkoda. W tej chwili przyszło mu na myśl, że może ten sprytny urwipoleć pyszni się tylko i chełpi; może wpadł przypadkiem jedynie na ślad, ale nie zna istoty tajemnicy. O tym należy się przekonać.

– Mój panie – rzekł głucho. – Czy nigdy się nie pomyliłeś?

– Nigdy, panie profesorze...

– Czy zawsze pytałem tych, których niecznie uprzedziłeś?

– Niestety, zawsze, panie profesorze. Zdarzało się czasem, że jeden z tych trzech był chory, i wtedy...

– Co ja robiłem wtedy? – zapytał szybko pan Gąsowski.

– Wtedy pan profesor egzaminował tylko dwóch, aby sobie nie popsuć porządku.

„Lis, chytry lis! – pomyślał ze zdumieniem staruszek. – Wie o wszystkim...”

Potał ręką mądre czoło i rzekł groźnie:

– Stało się! Ufność moja została ugodzona w samo serce...

Trudno... Ale, moi mili kawalerowie, skończyły się dobre czasy.

Cała klasa westchnęła boleśnie na znak, że podziela to zdanie, choć jej to sprawia wiele bólu.

– Już nikt nie będzie wiedział, co go czeka. Zrozumiano?

Podobny do jęku szmer klasy oznajmił pokornie, że zrozumiano.

– Nie będziecie wiedzieli ani dnia, ani godziny. Chytróść za chytróść... Uprzedzam, że będę bez litości.

Klasa siódma opuściła głowy albo kiepskie ich imitacje na znak, że nie może się spodziewać przebaczenia. Ten i ów uśmiechał się jednak nieznacznie, nie dowierzając katowskim zapowiedziom. Chmurny, ciężki i burzliwy nastrój

przemijał powoli, ani bowiem pan profesor nie umiał długo ważyć w dłoni piorunów, ani też trzydziestu matolów nie umiało zbyt długo trwać w przygnębieniu.

Pan profesor Gąsowski, wysunawszy wskazujący palec i mierząc nim w oko Cisowskiego, jak gdyby na nie dybał i w ten sposób miał rozpocząć czarną serię zapowiadanych męczarni, mówił z urąganiem:

– Już ci się nie uda, potworny chłopcze, ocyganić mnie po raz drugi. Przypadek wydał mnie w twoje ręce, a moje ręce mogą cię zmiażdżyć. Już ci się nie uda! „Ostrzeżony – uzbrojony”. Rozumiesz? Twój cały spryt nie jest wart funta kłaków, bo na sposoby są sposoby.

– Na niego nie ma, panie profesorze! – zawołał ktoś z głębi „sceny”.

– Tak myślisz? – mówił pan Gąsowski drwiąco, nie raczywszy nawet spojrzeć na bezczelnego śmiałka. – Taki on jest chytry? Ejże? Zje diabła, jeśli zdoła odgadnąć to, co ja teraz na was wymyślę. Czy pan słyszy, panie Cisowski? Zje pan diabła z buraczkami!

– Gdyby pan profesor pozwolił spróbować... – bąknął Cisowski nieśmiało.

Staruszek cofnął morderczo wysunięty palec, usiłował natomiast zamienić zdumione swoje oczy w dwa sztylety. Takim okropnym spojrzeniem, sięgającym dna serca, umiał Napoleon przewiercać na wylot swoich marszałków. Gdyby nieszczęsny Cisowski miał w sobie poczucie przyzwoitości, powinien był w tej chwili zakwilić krótkim, cichym jękiem, za czym wykopyrtnąć się i wypuścić z siebie omdlałego ducha, aby już więcej nie wstać. Pan profesor zdumiał się niepomrotnie, że jeszcze przed nim nie leży smętny kadawer*, lecz że wciąż stoi krępy i zuchwały dryblas, który się nazywał

* Kadawer (łac. *cadaver*) – trup.

Cisowski. Jeszcze żyje! I nie tylko żyje, lecz się łagodnie uśmiecha... Z tym należy uczynić koniec.

– Pragniesz próby?! – zawołał staruszek wielkim głosem. – Okpiłeś mnie i myślisz, że ci się uda po raz drugi? A więc dobrze! Spróbujemy się... Zapowiadam ci jednak, a wszystkich tu obecnych wzywam, aby byli świadkami, że marny będzie twój los. Może jestem słaby, może jestem nawet łagodny, ale dla ciebie nie będę ani słaby, ani łagodny. Pasy z ciebie... nie, to na nic!... Nie będę cię znał, imię twoje będzie dla mnie przekłete. Wyrzucę cię za drzwi z mojego serca. Słyszysz? Precz z mojego serca... I całą klasę razem z tobą, bo to twoi współnicy. No i jakże będzie? Zgodzisz się na próbę?

Chłopiec się zawahał. Poza sobą usłyszał szmer, jakby ciche brzęczenie pszczoły: to szemrała trwoga całej klasy, widać bowiem było, że przeznacny staruszek, którego można było przyłożyć do rany, tym razem nie żartuje, a musi być pewny swego, gdyż dojrzawszy cień zwątpienia na bladej twarzy Cisowskiego, zaśmiał się jadowicie, oczywiście w granicach możliwości, jak kiepski aktor, który straszliwca udaje.

– Cha, cha! Tchórz cię obleciał, co?! – wykrzyknął, wielce z siebie rad. – *Fugas chrustas**! Trafiło się ślepej kurze ziarno, więc myśli, że wszystkie pojadła rozumy... Szatan z Kaczego Dołu, czarnoksiężnik z teatru dla dzieci. Siadaj, panie Cisowski, zakryj rękami bezczelną twarz i wstydz się!

– Spróbuję, panie profesorze – rzekł chłopak. – Niech pan profesor powie, jak mam to zrobić?

Szmer klasy zmienił się w trwożny pomruk.

Staruszek, cokolwiek stropiony, myślał przez chwilę, potem mówił głosem tak zimnym, że słowa wyglądały jak lodowe sopte:

* *Fugas chrustas* – uciec w krzaki, drapnąć (żartobliwe wyrażenie utworzone niby od łac. *fuga* – ucieczka).

– Zuchwałość twoja przekracza wszelkie granice rozumu, ale chcącemu nie dzieje się krzywda. Dobrze. Otóż w sobotę wywołam trzech z waszej bandy. Jak dotąd... Przedtem ja napiszę ich nazwiska na karteczce i ty napiszesz trzy. Jeśli nie odgadniesz, których ja wybrałem, wiesz, co cię czeka.

– A gdybym odgadnął?

– Gdybyś odgadnął? Tego nie biorę w rachubę. Żal mi cię, młodzieńcze... Będziesz starty na proch... Mam zaszczyt pożegnać panów!

Uśmiechnął się drwiąco i zszedł z tragicznej sceny, mocno trzasnąwszy drzwiami, aby struchleli.

Dławiony gwar wybuchnął, jak gdyby wrzał w garnku jak ukrop, a ktoś nagle podniósł pokrywę. Korzystając z dziesięciominutowej pauzy, klasa siódma rozpoczęła burzliwy wiec. Ponieważ zgiełk był splątany, a jeden okrzyk usiłował stłumić drugi, nie można było dojść, czy splątanymi głosy gada trwoga i niepokój, czy też butna zuchwałość i pewność, że się Cisowski wydobędzie z toni. Posiadał on zasłużoną sławę najbystrzejszego chłopca w całej szkole. „I ja jestem mistrzem w logice” – rzekł sobie szatan. Pan profesor, mianując Cisowskiego szatanem, bardzo był bliski prawdy. Rozumując z chłodnym spokojem, chłopak ten umiał rozwikłać najtrudniejsze zagadki. Nie tylko patrzył bystrze, lecz i widział bystrze. Ze spokojną, cierpliwą namiętnością obserwował wszystko i wszystkich. Sklejał z przedziwną zręcznością niedopowiedziane słowo, ułamki zdarzeń, okruchy i szczątki i umiał sklecić z tego znikomego materiału prawdopodobną całość. Posiadał wyobraźnię żywą, lotną i zataczającą ogromne koła; wybiegała ona daleko naprzód, umiała cofnąć się w zapadający i gęstniejący mrok przeszłości i widziała tam to, czego zwyczajne krótkowzroczne oczy już dojrzeć nie mogły. W nauce też wyprzedzał wszystkich, ponad podziw pojętny, pamięć przy tym miał znakomitą. Powolny z natury, myślał zawsze rozważnie, bez

pośpiechu, z cierpliwością niezgodną z jego wiekiem, miał bowiem lat siedemnaście. Nigdy nie tracił spokoju ani nie unosił się gniewem. Pogodny i serdeczny kolega, wesoły i uśmiechnięty, czynny i współczujący, zdobył sobie bez większego trudu miłość u wszystkich. Klasa siódma dumna była z Cisowskiego, toteż straszliwe zapowiedzi profesora Gąsowskiego dudniły jak dalekie grzmoty. Profesor jest najzacniejszym człowiekiem pod słońcem, krzywdy nikomu nie uczyni, lecz może dotrzymać jednej groźby: nie z zemsty, lecz z żalu odsunie się od nich i wypowie im przyjaźń. To byłoby smutne, więcej niż smutne. Tak bardzo kochali tego cudownego, siwego, pełnego ufności człowieka z duszą jasną i sercem ślicznym, że utrata jego przyjaźni byłaby klęską sromotną i nie do odrobienia.

Cisowski uciszył zgiełk przez podniesienie ręki.

– Nie krzyczcie wszyscy razem! – zawołał. – Czy to sztuba, czy klasa siódma? Słuchajcie! Zrobiliśmy staruszkowi przykrość... Musiałem się przyznać... Łajdactwo jest łajdactwem i na ten temat wszelkie rozważania są zbędne. Teraz trzeba będzie odrobić to szybko i uczciwie...

– Słusznie! – zakrzyknął ktoś z głębokim przekonaniem.

– ...przerobić cały materiał i zaproponować staruszkowi, aby pytał, jak chce i kiedy chce. Zrobione?

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas

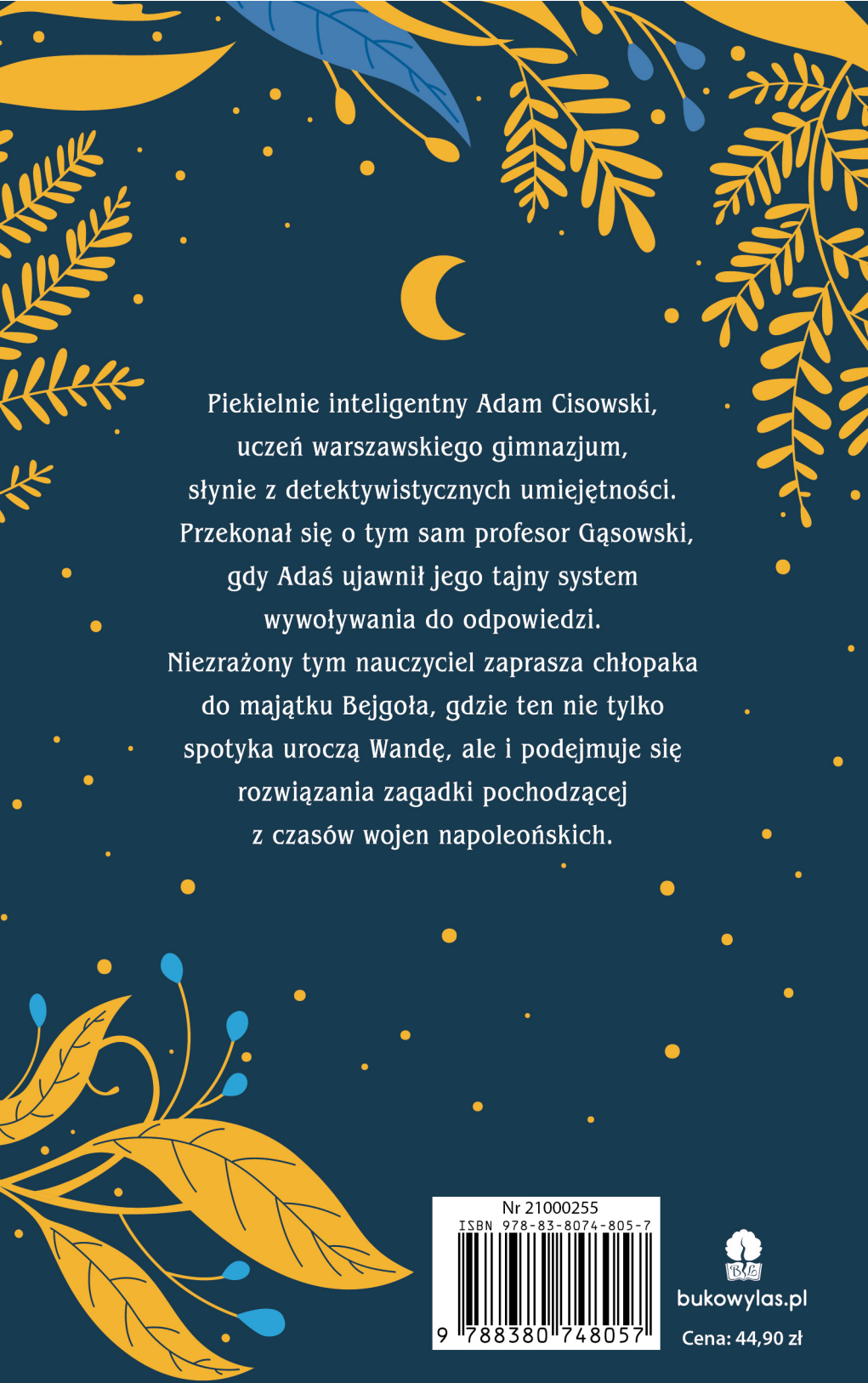


bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Piekielnie inteligentny Adam Cisowski,
uczeń warszawskiego gimnazjum,
słynie z detektywistycznych umiejętności.
Przekonał się o tym sam profesor Gąsowski,
gdy Adaś ujawnił jego tajny system
wywoływania do odpowiedzi.
Niezrażony tym nauczyciel zaprasza chłopaka
do majątku Bejgoła, gdzie ten nie tylko
spotyka uroczą Wandę, ale i podejmuje się
rozwiązania zagadki pochodzącej
z czasów wojen napoleońskich.

Nr 21000255

ISBN 978-83-8074-805-7



9 788380 748057



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł